

WARS I SAWA

Dawno temu Polskę pokrywała nieprzebyta puszcza, pełna dzikiej zwierzyny, a ludzie mieszkali w małych osadach. W jednej z nich, na brzegu Wisły, mieszkał młody rybak Wars. Był bardzo pracowity i sam zbudował łódź, a także cierpliwie wiązał rybackie sieci. A ponieważ szczęście mu sprzyjało, zawsze wracał z połowu z siecią pełną ryb. Wars bardzo lubił spędzać czas na wodzie i z radością wsłuchiwać się w śpiew ptaków. Jednak najbardziej fascynowały go nocne wyprawy, gdy panował niezwykle spokojny, a księżyc odbijał się w wodach Wisły srebrzystym blaskiem.

Pewnej nocy, gdy jak zwykle zepchnął łódź na wodę i zarzucił sieci, spośród wzburzonej wody wynurzyła się przepiękna dziewczyna. Rybak zamarł z zachwytu i wpatrywał się zdumiony, gdyż dziewczyna miała długie, złociste włosy, wielkie niebieskie oczy i... rybi ogon, pokryty srebrzystą łuską! Wars nie mógł uwierzyć własnym oczom, po chwili jednak przypomniał sobie opowieści, które słyszał w dzieciństwie - to była syrena! Nagle syrena podpłynęła bliżej brzegu i zaczęła śpiewać, nieświadoma tego, że podpatruje ją człowiek ukryty w wysokich trzcinach. Gdy Wars usłyszał jej głos, zakochał się bez pamięci.

Od tej chwili na niczym nie mógł się skupić, czekając na kolejny nocny połów i spotkanie z syreną. Nie przeszkadzało mu nawet to, że ona nie miała pojęcia ani o jego istnieniu, ani o uczuciu, które do niej żywił. Pewnej nocy, całkowicie zauroczony jej głosem, nieostrożnie wystawił głowę ponad trzciny, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Zaskoczona jego widokiem syrena podpłynęła i zagniewana zapytała:

- Dlaczego mnie podglądasz i podsłuchujesz?
- Jestem rybakiem... - nieporadnie zaczął się tłumaczyć Wars.
- Wiem, kim jesteś, wiele razy widziałam cię na łodzi, ale...
- Tak, wiem, że nie powinienem cię podglądać, ale kiedy pierwszy raz cię ujrzałem, straciłem głowę. Zakochałem się w tobie i nie mogę bez ciebie żyć. - przerwał jej w pół słowa Wars.

Syrena popatrzyła na niego i westchnęła:

- Ja także cię pokochałam. Ale przecież tak bardzo się różnimy...

Spojrzeni na siebie i zrozumieli, że są dla siebie stworzeni. Wtedy właśnie Sawa - bo tak miała na imię złotowłosa syrena - przypomniała sobie pewną tajemnicę: jeśli syrena z wzajemnością zakocha

się w człowieku, może na zawsze utracić swój rybi ogon i stać się kobietą. Wówczas Wars bez wahania poprosił Sawę o rękę, a ona zgodziła się z radością. Razem wyszli na ląd. Z syreny opadła rybia łuska i w miejscu ogona pojawiły się nogi. Stała się piękną dziewczyną i wkrótce odbyło się ich wesele.

Wars i Sawa żyli długo i szczęśliwie, otoczeni miłością i wzajemnym szacunkiem. Po latach wokół ich chaty powstała duża osada rybacka, a ludzie na pamiątkę postanowili nazwać ją Warszawą.

Dziś nie ma śladu po rybackich chatach, lecz ludzie wciąż pamiętają o młodym rybaku i pięknej syrenie. A Warszawa stała się stolicą Polski.

WARSZAWSKA SYRENKA

Dawno temu wśród pradawnej puszczy, na brzegu Wisły, stała rybacka osada. Krążyła w niej legenda o syrenie mieszkającej w głębinach Wisły, jednak nikt tej tajemniczej istoty dotąd nie widział. Czasami rybacy słyszeli tylko jej śpiew, gdy wracali w nocy z połowów. Jedni mówili, że to szum trzciny, lecz inni słyszeli jej śpiew z bliska i wiedzieli, że jest obdarzona cudownym głosem.

Pewnego dnia trzech rybacy spotkali się na brzegu.

- Jeśli złapiemy syrenę i zawieziemy ją księciu, dostaniemy mnóstwo złota - powiedział jeden z nich.

- Musielibyśmy wypłynąć w nocy na rzekę i ukryć łódź w nadbrzeżnych trzcinach. Ale trzeba by było wziąć ze sobą pochodnię, bo w ciemnościach niczego nie zobaczymy - dodał drugi.

- W takim razie poczekajmy do pełni księżyca. Wtedy będzie jaśniej i nie będziemy potrzebowali ognia - odezwał się trzeci.

Pokiwali głowami i umówili się, że wypłyną za kilka dni, gdy księżyc będzie w pełni.

Kiedy nadeszła noc, zaczęli się w łodzi nieopodal brzegu, trzymając w dłoniach mocną sieć. Nie czekali zbyt długo. Syrena wypłynęła z fal i usiadła na jednym z przybrzeżnych głazów, a potem zaczęła śpiewać. Rybacy urzeczeni jej głosem przez dłuższą chwilę nie byli w stanie się poruszyć, aż wreszcie najstarszy z nich otrząsnął się i wyjął z kieszeni воск.

- Zatkajcie tym uszy - powiedział, podając go towarzyszom.

Rybacy włożyli воск w uszy i nie słysząc już urzekającego śpiewu syreny, zarzucili na nią sieć. Przerażoną wyciągnęli na brzeg i zanieśli do jednej z chat. Postawili na straży najmłodszego rybaka, a sami udali się przygotować wóz, którym zamierzali zawieźć syrenę do księcia. Młody rybak przyglądał się syrenie z zaciekawieniem i kiedy zobaczył, że otwiera usta, odetkał sobie uszy, aby usłyszeć co mówi.

- Wypuść mnie, proszę.

- Jak to? Mam cie uwolnić? - zapytał zdziwiony.

- Tak. Uwolnij mnie i chodź ze mną - odpowiedziała syrena i zaczęła cichutko nucić jedną ze swych pieśni.

Zauroczony jej głosem rybak wziął ją na ręce i zaniósł na brzeg Wisły. W tym czasie pozostali rybacy wrócili do chaty po syrenę. Gdy zobaczyli, że izba jest pusta, ruszyli w pogoń.

Lecz było już za późno. Syrena dopływała już do środka rzeki. Przestraszony krzykami młody rybak również skoczył do wody i płynął do syreny, mimo nawoływań pozostałych, aby wracał na brzeg. Syrena zatrzymała się jeszcze na chwilę i zawołała do stojących na brzegu:

- Śpiewałam dla was co noc, bo was polubiłam! Chciałam wam towarzyszyć, żeby w razie potrzeby ostrzec was przed niebezpieczeństwem! A wy złapaliście mnie jak zwykłą rybę i chcieliście sprzedać za garść złota! Dlatego was opuszczam. Jeżeli wrócę, to tylko z mieczem i tarczą, aby was bronić. Ale pojawię się tylko wtedy, gdy niebezpieczeństwo będzie tak wielkie, że sami sobie nie poradzicie.

Po tych słowach syrena zniknęła na zawsze. Nikt też już nigdy nie widział młodego rybaka, który podążył za nią.

Dziś na miejscu rybackiej wioski stoi wielkie miasto - Warszawa. Mieszkańcy nie zapomnieli o swojej syrenie. Na brzegu Wisły stoi jej pomnik. Z tarczą i mieczem uniesionym do góry, strzeże bezpieczeństwa miasta. Jednak do tej pory, pomimo różnych dziejów Warszawy, ani razu się nie pojawiła. A to oznacza, że wciąż jeszcze nie nadszedł czas wypełnienia jej obietnicy.

BAZYLISZEK

Dawno temu w Warszawie żył pewien płatnerz o imieniu Melchior. Jakość wykonywanych przez

niego zbroi znana była w całym kraju. Mówiono, że wykonane przez niego tarcze są tak doskonale wypolerowane, iż można się w nich przejrzeć, a w trakcie bitwy odbijające się w nich słońce oślepia wrogów.

Oczkiem w głowie mężczyzny była dwójka jego dzieci - chłopiec i dziewczynka. Pewnego razu do miasta przybyli wędrowni artyści. Dzieci prosiły ojca, aby pozwolił im pójść na rynek i obejrzeć występy kuglarzy. Ojciec uległ naleganiom swoich pociech, jednak przestrzegał je aby nie zbliżali się do starej kamienicy na Krzywym Kole. Ludzie gadali, że w jej piwnicach straszy, a ci, którzy odważyli się tam wejść przepadali bez śladu.

Występy na rynku były wspaniałe, dzieci były oczarowane. Po przedstawieniu wraz z tłumem odprowadzali kuglarzy do gospody, w której artyści się zatrzymali. W pewnym momencie dostrzegli, że jeden z akrobatów oddala się od tłumu i znika we wnętrzu starej, opuszczonej kamienicy. Dzieci zorientowały się, że są na Krzywym Kole, a budynek przed którym stały to ten z przestrogi ojca. Ciekawość jednak zwyciężyła i chłopiec z dziewczynką podążyli śladami śmiałka.

W piwnicach było ciemno, jednak dzieci dostrzegły małe światełko pod najdalej położoną ścianą. Widziały jak do światła zbliża się śledzony mężczyzna, a chwilę później usłyszeli jego krzyk i dziwny zwierzęcy skrzek. Przed artystą pojawił się mały smok o głowie koguta i ogonie węża. Jedno spojrzenie w oczy potwora spowodowało, że człowiek przemienił się w kamień. Złęknięte dzieci ukryły się za skrzyniami stojącymi w piwnicy. Nie było drogi ucieczki, gdyż bazyliszek, bo tak nazywano takie potwory, nerwowo dreptał po całym pomieszczeniu.

Zaczynało się ściemniać. Melchior był coraz bardziej zaniepokojony długą nieobecnością swoich pociech. Postanowił pójść na rynek i poszukać ich. Po drodze zauważył tłum zgromadzony przed kamienicą na Krzywym Kole. Był coraz bardziej zdenerwowany i postanowił sprawdzić skąd to zbiegowisko. Gapie rozmawiali o artyście, który nie posłuchał przestróg okolicznych mieszkańców i ruszył do piwnic w poszukiwaniu skarbów. Niektórzy ze zgromadzonych widzieli również dzieci, które podążyły jego śladem.

Melchior wiedział już w sercu, że to jego ukochane dziatki tam zeszły. Pobiegł do swojego

warsztatu. Wdziął najlepszą zbroję i chwycił najpiękniejszą i najbardziej lśniącą tarczę, gdyż nie wiedział jakie niebezpieczeństwa, jakie potworności skrywa piwnica. Wrócił na Krzywe Koło i zagłębił się w podziemiach starej kamienicy.

Gdy był już na dole tak jak jego pociechy ujrzał migoczące pod ścianą światélko. Przeczuwał jednak, że tam kryje się jakieś niebezpieczeństwo, więc zbliżał się w tamtym kierunku zasłonięty swoją tarczą. Kiedy bazyliszek wyskoczył na płatnerza, zamiast ofiary ujrzał błyszczącą tarczę, a w niej swoje odbicie. Straszliwe spojrzenie bazyliszka zadziało natychmiast zamieniając bestię w kamień. Potwór został pokonany swoją własną bronią.

Dzieci obserwowały całe zdarzenie. Widząc, że bestia zamieniła się w kamień wyskoczyły z ukrycia i pobięły do ojca tuląc go z radości. Kiedy rodzina wyszła z podziemi, zgromadzeni przy kamienicy ludzie głośnie wiwatowali odwadze Melchiora. Historia pokonania bazyliszka szybko rozeszła się po całej Warszawie i jest opowiadana do dziś dnia.

SZABLA KRÓLA ZYGMUNTA

Dawno temu w Warszawie młody król Władysław IV postanowił wznieść pomnik swego ojca - króla Zygmunta III Wazy. Długo szukał odpowiedniego miejsca i w końcu postanowił, że pomnik stanie przed główną bramą zamkową. W dodatku na wysokiej kolumnie, aby zarówno mieszkańcy, jak i podróżni już z daleka mogli go dostrzec.

Gdy znaleziono odpowiedni blok skalny, król polecił swemu sekretarzowi, aby znalazł najlepszego rzeźbiarza w Warszawie, który wyciosa kolumnę i wyrzeźbi pomnik. Wybór padł na mistrza Jakuba, którego wszyscy nazywali Złotym, gdyż miał złote ręce do wszystkiego i z najbrzydszego kamienia potrafił stworzyć arcydzieło.

Jakub długo oglądał projekt. Sekretarz zapewnił go, że król dostarczy wszystkich niezbędnych materiałów i narzędzi, aby tylko postać króla Zygmunta była okazała i władcza, a kolumna piękna i bez skazy. Mistrz Jakub po długim wahaniu zgodził się wykonać pomnik.

Następnego ranka w pracowni mistrza zaczął powstawać zarys pomnika. Czeladnicy najpierw ulepili postać z gliny, potem powstał odlew gipsowy, aż wreszcie odlano go w brązie. Cały proces trwał wiele dni i pracom z fascynacją przyglądał się syn mistrza, Kacper. Gdy pomnik był już gotowy, chłopiec zauważył, że szabla króla nie błyszczy.

- Ojcie, dlaczego ta szabla nie błyszczy? - zapytał.
- Oj, nie musi przecież błyszczeć - odpowiedział mu ojciec.
- Ależ musi! - wykrzyknął Kacper.

Mistrz był jednak zbyt zmęczony na rozmowę z synem i tego wieczora szybko położył się spać. Wtedy Kacper wymknął się do pracowni i wypolerował szablę tak dokładnie, że wyglądała jakby była ze złota. Rano wszyscy nie mogli się nadziwić, że szabla tak błyszczy. Jakub domyślił się, czyja to sprawka i pokiwał głową z uznaniem.

Pomnik króla ustawiono na kolumnie na środku placu Zamkowego. Mieszkańcy podziwiali jego piękno i mówili, że król będzie czuwał nad miastem i ochroni je przed wszelkim nieszczęściem. Po kilku miesiącach nadeszła wielka susza i wszyscy z utęsknieniem czekali na deszcz. Modlili się, aby z przepływających nad miastem chmur spadła choć kropla wody. Wtedy Kacper pomyślał, że poprosi o pomoc króla Zygmunta. Pobiegł pod kolumnę i zawołał:

- Królu, unieś swą błyszczącą szablę i jej ostrzem przetnij jedną z chmur!

I stała się rzecz przedziwna - ręka króla uniosła się i szabla dotknęła czarnej chmury. Z nieba lunął deszcz, a szczęśliwi ludzie dziękowali swemu opiekunowi.

Od tamtej pory dłoń króla Zygmunta, trzymająca szablę, jest uniesiona ku górze, odstraszać wszelkie niebezpieczeństwa mogące zagrozić Warszawie.

KAMIENNY NIEDŹWIEDŹ ZE STAREGO MIASTA

W starym mieście w Warszawie, przed kościołem jezuitów, stoi niedźwiedź. Niewielu wie, że w rzeczywistości to zaklęty książę, który czeka na swoją miłość.

Dawno, dawno temu na mazowieckich ziemiach żył pewien książę. Był człowiekiem bardzo szlachetnym i dobrym. Niestety miał jedną wadę. Był bardzo wysoki, szeroki w barach, a do tego jego twarz przypominała niedźwiedzia. I tak też o nim mówiono - Niedźwiedź. Z tego powodu książę nie miał żony i był bardzo samotny.

Pewnego dnia, w kościele Jezuitów na warszawskim Starym Mieście, książę ujrzał piękną dziewczynę. Była to młoda mieszcza, ale mężczyzny nie obchodziło jej pochodzenie. To była miłość od pierwszego wejrzenia i od tamtej chwili książę myślał tylko o niej. W każdą niedzielę

przyjeżdżał do kościoła Jezuitów, aby w czasie mszy choć spojrzeć na swoją ukochaną. Był jednak zbyt nieśmiały, by wyznać jej swoje uczucia.

Gdy w kolejną niedzielę książę przybył do kościoła, ujrzał dziewczynę przekraczającą próg. Miała na sobie białą jak śnieg suknię ślubną, a u jej boku kroczył dumnie jej wybranek. Serce księcia ścisnęło się z żalu, po jego policzku potoczyła się łza. Nagle upadł, jego ciało zaczęło się zmieniać. Po chwili stał się wielkim, kamiennym niedźwiedziem. Smutek, który dosięgnął jego serca sprawił, że książę zamienił się w twardy głaz, aby już więcej nie cierpieć.

Kamienny Niedźwiedź do dziś czuwa przy kościele na ulicy Świętojańskiej na Starym Mieście. I czeka na niewiastę, która obdarzy go miłością. Wtedy czar pryśnie, a książę wróci do swej postaci i wraz ze swą miłością przeżyje długie, szczęśliwe lata.

PUSTELNIA TRZECH KRZYŻY

Dawno temu, gdy książę Ziemowit zmierzał do jednej ze swych siedzib, drogę przed nim przecięło niezwykle zwierzę. Książę wiedziony ciekawością ruszył w ślad za dziwnym zjawiskiem. Gdy udało mu się zbliżyć, dostrzegł, że stwór w rzeczywistości jest niedźwiedziem idącym na tylnych łapach, a w przednich niosącym wielką bryłę miodu. Zaskoczony Ziemowit śledził zwierzę aż do małej chatki.

Tam postanowił ukryć się w krzakach i cicho obserwował, kim są jej tajemniczy mieszkańcy. Po chwili z chatki wyszło trzech starców. Książę od razu przypomniał sobie opowieści o trzech mędrkach żyjących gdzieś w głuszy, o których słyszał od dzieciństwa. Tak go to zaskoczyło, że bez namysłu wyszedł na niewielką polanę. Starcy od razu rozpoznali w nim władcę i zaprosili do siebie na jadło. Opowiedzieli księciu, jak różne leśne zwierzęta przynoszą im dary w zamian za leczenie i inną pomoc, którą mędracy mogą naturze ofiarować. I że do szczęścia nie potrzeba im niczego więcej, bo szczęście człowieka zależy od jego dobrych uczynków.

Zafrasował się Ziemowit słysząc te słowa. Po powrocie na swój dwór, książę zapytał poddanych, od czego zależy szczęście. Nie usłyszał jednak odpowiedzi, której udzielili mu mędracy. Tak mu ta wizyta zapadła w pamięć, że stale pamiętał o mieszkańcach pustelni i co jakiś czas słał im w darze kosze pełne jadal, jakiego las nie mógł im dostarczyć.

Aż pewnego dnia posłaniec wrócił z wieścią, że chata została splądrowana przez zbójników, a staruszków wywleczono gdzieś w las. Na próżno Ziemowit szukał mędrców. Nigdy nie udało mu

się odnaleźć nawet ich ciał.

Na cześć zaginionych książę w miejscu pustelni postawił trzy wielkie drewniane krzyże. Od tamtej pory miejsce to nazywano Pustelnią Trzech Krzyży. Gdy puszcze i leśne szlaki zastąpiły budynki i miejskie drogi, miejsce to nazwano Placem Trzech Krzyży. I taka nazwa została do dziś.

JAK MAĆKO KWASIŻUR PRZECHYTRZYŁ DIABŁA CHMIELORZA

W XVI wieku w Warszawie żył rycerz Maćko Kwasizur. Odznaczał się wyjątkowym męstwem nie tylko na polu bitwy. Wieść niesie, że pewnej nocy Maćko wraz z druhami biesiadował w gospodzie. I coraz głośniej przechwalał się, że da radę każdemu, nawet samemu diabłu.

Na te słowa z ciemnego kąta gospody wyskoczył diabeł Chmielorz. Diabeł słyszał przechwałki Maćka. Ale powiedział, że chce to usłyszeć jeszcze raz. Rycerz nie był tchórzliwy, powtórzył więc diabłu prosto w twarz, że może go przechytrzyć. I zaproponował zakład.

Diabeł Chmielorz sam z ławy nie wstanie. Słyszając tak banalne zadanie, diabeł wybuchnął śmiechem. A zgromadzeni w gospodzie ludzie zaczęli prosić Maćka, aby się wycofał. Nic z tego. Rycerz trwał przy swoim. Chmielorz ochoczo przyjął zakład i usiadł na ławie. A Maćko usiadł obok.

Mężczyzna jeszcze raz powtórzył wszystkim zakład. Diabeł usiadł na ławie, a potem wstał, chichocząc jak łatwo wygrał. Ale wraz z diabłem wstał i Maćko. Za każdym razem gdy diabeł się podnosił, podnosił się również rycerz. I wtedy wszyscy wszyscy zrozumieli, o co chodziło w zakładzie. Sam diabeł z ławy nie wstawał, bo przecież razem z nim wstawał Maćko Kwasizur. Tak oto rycerz przechytrzył diabła, wygrywając dzban miodu, worek złotych monet i dziesięcioletnią diabelską służbę. Maćko kupił łódź i zajął się przeprawianiem towarów z Warszawy do Gdańska. A o swoje towary był spokojny. Przecież czuwał nad nimi sam diabeł.